

EUGENIUSZ DEBSKI

Wydrwiżab



Fabryka Show

Eugeniusz Dębski

Wydrwizab

Jechali od świtu, wolno, stępem, miarowo, nudno, aż dzień doczołgał się do południa, przewalił przez upalny szczyt i zaczął podążać ku chłodniejszej porze. Na razie jeszcze słońce świecąc z tyłu skracalo cienie, więc kopyta koni uderzały we własne ciemne sylwetki na dobrze utrzymanym trakcie, leniwe obłoczki kurzu chwilę wisiały w powietrzu, a potem osłabione upałem i zniechęcone, bo jeźdźcy już odjechali, opadały oczekując na mocniejszy wiatr i innych konnych, którym można by bez przeszkód wpaść do ust i płuc. Jeden z wędrowców, wysoki, szczupły w kapeluszu, spod którego wysuwał się pojedynczy gruby warkocz i ociężale spoczywał na plecach, zerknął na towarzysza i uśmiechnąwszy się pod nosem powiedział:

–W takich kępach lip – Brodą wskazał kierunek: przed nimi droga zanurzała się w zagajniku – lubią tryskać źródelka. Pamiętam kilka... – Przewrócił oczami i cmoknął z rozkoszą. – Woda w nich lodowata i pachnie miodem.

Drugi konny, ciężiej zbudowany i nieco niższy, z kawałkiem lekkiej dery narzuconym na głowę i kark, przyjrzał się uważniej zagajnikowi przed sobą, wzruszył ramionami. Prychnął.

–Dobrze by było – wychrypiał. Łokciem wytarł pot spływający z czoła do oczu. – Spali się wszystko...

Miał na myśli – jak zrozumiał pierwszy jeździec – uprawy.

Rzeczywiście, jeśliby ktoś przyjrzał się polom po obu stronach drogi zauważyłby, że w równych, pozostawionych przez lemieszce bliznach ledwie tli się zielone życie. Rośliny wzeszły kiedyś ochoczo, wiosna była

soczysta, wilgotna, wczesna, ale zaraz potem korzenie spiły prawie całą wodę i kielki niemal zatrzymały się w rozwoju. Powstał miły dla oka równy dywanik ulistnionych łodyg, jeszcze – mimo panującej suszy – zielonych.

Wysoki zachichotał chrapliwie, odkaszlnął i splunął niemrawo w bok.

–Nibyś wędrowiec, Cadronie, niby obieżyświat, a... Co to tam z butów wyłazi? – zakpił ochryple.

–Palce mi wyłożą przede wszystkim. – Na dowód Cadron wysunął nogę ze strzemienia i wyprostowaną uniósł do góry. Podeszwa natychmiast opadła w dół trzymając się tylko gdzieś w okolicach obcasa. Zamajtał stopą. –

Niczym pies, co się nagał za suką. – I zakończył klnąc bez szczególnego zapалу: – Żeby to ch-chudy bąk...

Uśmiechnęli się obaj, ale niemrawo, płytko i sucho. Słońce paliło.

Cadron jak królik poruszył wargami zbierając wilgoć z zakamarków ust.

Zamierzał splunąć, ale się rozmyślił.

–Nic nie ujmując twojej, Hondelyku, wiedzy – Pochylił się w siodle, oparł o łęk skrzyżowanymi łokciami – ale strumienia tam być nie może... – Mówiłem o źródle – przerwał mu Hondelyk. – Załóżmy się, kto ma rację nie czyści przez dekadę koni, co?

–Stoi.

Cadron trącił konia piętami i ociężale zakłusował. Hondelyk

zachichotał bezgłośnie i również ponaglił konia. Zresztą oba wierzchowce zawietrzyły nerwowo i samoistnie przyspieszyły kroku, Cadron obejrzał się z niepokojem i widząc szeroki uśmiech na twarzy towarzysza zaklął pod nosem. Wpadli niemal równocześnie w cień rzucany przez rozłożyste stare

dostojne w nieruchomym powietrzu lipy. Wysokość jeźdźca przekraczały leszczyzny, z puszysto-futrzanymi żółtymi fiutkami zwisającymi nieruchomo. Powietrze było tu chłodne i pachnące lipami. Pszczoły zaciekle uwijały się omal nie zderzając ze sobą.

–Jakbym przeskoczył z balii z wrzątkiem do koryta z lodem – stęknął Cadron ściągnawszy cugle. – Już to mi wystarczy...

–A mnie – Hondelyk ominął go i pojechał przodem rzucając przez ramię: –że nie będę się zajmował końmi.

Trakt rozgałęział się, główna droga wiodła na przestrzał przez chłodną kępę, a węższa odnoga odchodziła w bok, w lewo od drogi, prowadziła w dół i teraz nawet ludzkie kiepskie nosy, teraz na dodatek wysuszone, wyczuły błogi zapach wody. Cadron zachrypiał radośnie, zerwał derę z głowy i wymachując nią nad głową, pohukując pognął pomiędzy drzewa i krzewy. Hondelyk powstrzymał się od krzyków, ale nie zwlekał. Zarzucili wodze na gałąź drzewa i rzucili się do korzeni ogromnej lipy, w wykrocie pod korzeniami ciemno lśniła misa sporej sadzawki. Cadron pierwszy dopadł wody, zwałił się na kolana i zanurzył głowę aż do uszu w wodzie. Hondelyk nieco wolniej, ale zrobił to samo. Łapczywie łykali chłód i wilgoć, Cadron wysunął na chwilę głowę, grzmiącym głosem odkaszlnął, przetarł twarz, odetchnął kilka razy. Zerknął na konie, ale uznał, że muszą – choć bardzo się niecierpliwiły – jeszcze chwilę odetchnąć. Hondelyk również podniósł głowę, chciał coś powiedzieć, ale zakrztusił się i dopiero mocne trzy uderzenia w plecy przywróciły mu oddech. Otarł usta i załzawione oczy.

–Uoeh!... – Ano – potwierdził Cadron. Wstał i chwyciwszy leżący na

ziemi kapelusze Hondelyka szybko zaczerpnął nim wody i zanim wyartykułowany został protest podszedł do koni i poczęstował je kilkoma łykami wody. Gdy łapczywe pyski zaczęły domagać się więcej poważnie zaczął im tłumaczyć, że mogą się nabawić suchoty. Odepchnął natrętne głowy i odwrócił się do Hondelyka, ale nie zdążył nic powiedzieć – oba konie jak na komendę trąciły go głowami i niemal wepchnęły do sadzawki. Rozzłoszczony odwrócił się i wrzasnął:

–Powiedziałem – napij się łapczywie i zdechniesz w krótkich abcugach!

Chcesz tego, chcesz? – Oba konie zakiwały radośnie głowami. – Durnie i tyle... Wrócił do źródła i usiadł ciężko na ziemi krzyżując nogi. Hondelyk sięgnął do przewieszanej przez ramię, zrobionej z zakwaszonej na czarno skóry torby i wyjął fajkę i kapciuch z tytoniem. Rzucił torbę Cadronowi, ale zaledwie tamten ją złapał usłyszeli dźwięczne i zdecydowane:

–Nie ruszajcie się, jeśli chcecie wypalić te fajki!

Zamarli. Krzaki od strony lipy-źródłanki rozchyliły się i wyskoczył z nich chudy jak trzcinka młodzian ubrany w jaskrawy czerwony kubrak na czarnej koszuli i obcisłe również czarne spodnie. Na gładko wygolonej twarzy, może nawet jeszcze nigdy niegolonej gościł groźny wyraz, malowany przy pomocy ściągniętych grubą kreską malowanych brwi i zaciśniętych pełnych warg. Wysoki dziewczęcy głos wskazywał na młody wiek niespodziewanego gościa równie wyraźnie jak jego gładkie oblicze i figura. Dla wzmocnienia efektu potrząsnął krótko ściętymi włosami i wysunął do przodu trzymany w ręku przedmiot: grubości przedramienia krótki drąg z przyczepionym do końca kawałkiem zgiętego w pół i ściśniętego metalowego

paska. Cadron omal nie wybuchnął śmiechem, ale zobaczył, że z łoża drąga wystaje bełt i przełknął rodzący się ironiczny śmiech. Młodzian ostrożnie przestąpił przez pręty leszczyny i nie przestając celować w wędrowców podszedł bliżej. Grot strzały kilka razy podniósł się do góry.

–No? – ponaglił młodzieniec.

–Co no? – zapytał Cadron. – Mamy ci oddać sakiewki, rozebrać się do naga czy powiesić?

Młodzian otworzył usta i znieruchomiał na chwilę. Jeszcze raz ponaglił ruchem broni. Ale ruchy miał niepewne i rozterkę w oku. Hondelyk strzelił krótkim spojrzeniem w towarzysza: "To nie rabuś, nie rób niczego gwałtownego".

–Pokażcie ręce! Nadgarstki, to znaczy... – zadysponował napastnik.

Przyjrzał się uważnie czterem przegubom, chrząknął z zakłopotaniem.

–Nie jesteście źli, panowie? Wybaczcie. – Pochylił dziwną broń, przykucnął i położył ją na ziemi. – Kręci się tu w okolicy podobno banda niejakiego Watholsa. Mają na przegubach znaki, co mają ich chronić przed schwytaniem. Wybaczcie, czułem, że nie macie z nimi nic wspólnego, ale – jak to się mówi – strzeżonego... Jestem Malepis.

–Nie mamy cienia pretensji – powiedział Hondelyk nie zwracając uwagi na imię i nie wymieniając swojego. Niemal nie odrywał oczu od leżącej na ściółce broni.– Dziwne to – wskazał brodą oręż młodziana. Nagabnięty uśmiechnął się i wskazał broń przyzwalającym gestem. – To coś jak arbalet –powiedział. – Mój ojciec to wymyślił. Znakomita, bo się składa i wygląda tak... – Zręcznym ruchem wyszarpnął bełt, szcęknął czymś i nagle groźna

broń przybrała postać dziwnego, ale zupełnie niegroźnie wyglądającego grubego kija. – Poręczniejsza, prawda?

–Bez wątpienia – przyznał Hondelyk. Poruszył ręką, jakby chciał wziąć do ręki broń, ale powstrzymał się. – Jak się nazywa ten padefon?

–Nie ma nazwy, bo jest tylko jedna – młodziak uśmiechnął się szeroko.

–Ja nazywam ją tuńka, bo tatuniek ją wykoncypował.

Cadron zachichotał. "Tuńka!" parsknął śmiechem.

–Wdzięczna nazwa – skwitował Hondelyk. – Sprzedasz? Malepis zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę.

–Właściwie... Mogę. Tatu... – zerknął na Cadrona i zająknął się. –

O-ojciec już prawie skończył drugą.

–Dziesięć lentów?

–Dobrze – zgodził się skwapliwie Malepis. Uważnie wpatrywał się w palce Hondelyka wyławiające z sakiewki monety i odliczające dwadzieścia półlentowych monet. Przejąwszy kwotę podrzucił je i zręcznie schwytał w jedną rękę. – Więcej niż w dwa miesiące zarabiam na zębach. Może kupicie jeszcze jedną dla towarzysza?

–Nie, dzięki! – zaprotestował szybko Cadron. – Ja nie mam takiego pędu do zbierania wszystkiego czym się można skaleczyć, i nie będę się na starość uczył jakiegoś nowego składanego arbaleta.

–No właśnie. – Hondelyk wskazał tuńkę palcem i poruszył kilkakroć brwiami.

–Już. – Malepis zręcznie rozłożył broń, zablokował jakąś dźwignię, szarpnął jakiś pręt, założył bełt. Rozejrzał się dokoła i znalazłszy suchą

sterczącą z drzewa gałąź niemal nie celując strzelił w nią. Bełt świsnął zawadiacko, uderzył w cel i odłamawszy gałąź zniknął w gęstwinie krzewów.

–Oj! – po dziewczęcemu pisnął strzelec, przykrywszy usta dłonią. – Już szukam – poderwał się i pognął w krzaki.

Cadron pokręcił protekcjonalnie głową i zabrał się do pojenia koni.

Cmokały i parskaly, raz gdzieś z gęstwiny dobiegł ich okrzyk Malepisa uspokajający Hondelyka, który nie bacząc na kpiące spojrzenia i drwiące pomruki Cadrona rozognionym spojrzeniem pieścił nową zabawkę.

–Gdybyś tak woził ze sobą wszystko, coś dotychczas kupił... – przerwał i zaczął nasłuchiwać.

Hondelyk sam słuchał chwilę i nie odzywając się zapytał wzrokiem Cadrona o przyczynę milczenia. Cadron potrząsnął głową, przykrył powiekami oczy i całkowicie oddał się nasłuchiowaniu.

–Jadą tu, ze sześciu jeźdźców – szepnął. – Nie kryją się, rechocą...

–Nic nie słyszę – szepnął Hondelyk.

–To trzeba było sobie kupić nową parę uszu, a nie tuńkę.

–Jak cię kopnę, to... – Nagła myśl zmroziła wymowę Hondelyka.

Spoważniał, zamrugał oczami i przygryzł dolną wargę. – Czy to mogą być służbowi? Cadron wzruszył ramionami, ale znowu przymknął powieki i słuchem przeniósł się na trakt.

–Jadą tu – szepnął. – O co chodzi? – zapytał widząc wyraźne zaniepokojenie Hondelyka.

–Musimy... Nie, nie możemy uciekać, Malepis im opowie, będą szukać. –

Poderwał się na równe nogi. – Słuchaj ich!

Rzucił się w krzaki, z których wyszedł na nich Malepis. Zniknął za rozkołysanymi gałęziami, Cadron wstał również, nasłuchiwał starannie. "...nie daruję... A juści, też bym go zakołkował... to powiedz mi kto inny by ją wydupcył? Ja bym...". Rozejrzał się nerwowo dokoła – Malepis wciąż szukał beltu, Hondelyk przepadł za grzędą leszczyn. Konie przerwały pokłony składane tafli wody i zaczęły strzyc uszami. Głosy mężczyzn podążających w stronę źródła stały się wyraźne, dzieliło ich od Cadrona kilkadziesiąt kroków. Z krzewów wypadł Hondelyk, trzymał w ręku płaski kuferek z drewna obitego szorstką niewyprawioną grubą skórą, opasany dwoma pasami, rzucił go pod drzewo i dopadł Cadrona żeby potrząsnąć go za ramiona. Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i bez słowa, skoczył w kierunku, w którym zniknął Malepis, jednak tuż przed skokiem w krzaki odwrócił się i syknął:

–Mnie tu nie było!

Zaszeleściły liście. Cadron zaczerpnął pełne płuca powietrza i wypuścił je przez nos rozglądając się dokoła. Nie miał pojęcia co ma robić, co powiedzieć, gdy Malepis zapyta gdzie jest Hondelyk, dlaczego towarzysz uciekł, dlaczego...

Na zakręcie pojawił się pierwszy jeździec, za nim drugi i reszta.

Rozmawiali swobodnie ze sobą, ale po kolei milkli na widok Cadrona.

Podjechali bliżej i zatrzymali się. Mieli jednakowe lekkie półpancerze z

tym samym herbem – gawron z trzcina w dziobie, spod niedbale odsuniętych na czubki głów splywał na surowe twarze pot. Dowódca, który jeszcze chwilę temu najgłośniejszy i nadzwyczaj rubasznie roztrząsał walory łupania na

grochowinie, jakby niezadowolony z obecności Cadrona warknął:

–Ktoś zacz?

–Po prostu – wędruję tędy. Nie wadzę nikomu...

–A to ja... Ja powiem czy wadzisz. Pokaż ręce!

–Już to sprawdzono! – powiedział dźwięczny głos z krzewów. Rozchyliły się i wyskoczył z nich Malepis. Dowódca rozchmurzył się, a Cadron otworzył usta i skamieniał osłupiały. Malepis strzepnął z rękawów czarnej koszuli jakieś listki, poprawił kaftan i zerknąwszy na Cadrona zajął się otrzepywaniem szarych spodni. Na kolanie miał ciemną wilgotną plamę. – Witajcie!

–Ano. – Dowódca przystawił poduszkę kciuka do jednej dziurki nosa, odchylił się w siodle i zręcznym dmuchnięciem przeczyścił nos. – To co – napo- imy konie i ruszamy?

Malepis uśmiechnął się blado, pokiwał głową bez entuzjazmu. Rzucił krótkie spłoszone spojrzenie na Cadrona, ale nie odezwał się słowem.

Żołnierze posiadali z koni i ruszyli do źródła, pili niemal wszyscy razem, konie również, nie dbali czy są zgonione, bo – Cadron przyjrzał się im teraz – nie były, musieli przejechać tylko kawałek w spiekocie. Podczas gdy żołdactwo zaspokajało pragnienie Malepis podniósł swój kuferek i tuńkę, przyczepił bagaż do konia Hondelyka i bezczelnie zerknął na Cadrona. O co tu chodzi, zdenerwował się Cadron. Umówili się z Hondelykiem, czy jak? Czy go ogłuszył? Dlaczego? Nie jakby ogłuszył, to by mnie oskarżył o coś, jego ziomkowie już by mnie tu odpowiednio sflekowali. Na Kreista! Co robić!

–Malepis! – huknął dowódca. – A z nim co? Znajomy?

–Ot, trochę – odpowiedział Malepis. – Ale to zacny człowiek, może jechać z nami.

–Ty!? – żołdak wziął się pod boki i roześmiał. – Co ty – gości panu Jugry sprowadzasz? Nie za wiele sobie pozwalasz? – Plasnął dłonią o drugą.

–Doigrasz się! – Rzucił władcze spojrzenie na podkomendnych. – Wsiadać. – Oszacował wzrokiem konia Hondelyka. – To twój kuń? – zapytał.

Cadron otworzył usta, żeby sobie przypisać Poka, ale Malepis uprzedził go:

–Tak, od niedawna mój. Dobry, co?

Wojaka splunął z całego serca.

–Ot, życie. Takie ci gównno – wskazał żołnierzom Malepisa – zapraszane jest wszędzie, kunie to ma coraz lepsze, a uczciwy żołnierz, co życie ryzykuje – tyle!

Zakręcił nad głową ręką, zacieśnił pętlę i nagle dłoń wystrzeliła w przód i znieruchomiła demonstrując słynną trzypalcową figurę.

–Jak nie chcesz ryzykować życiem, to nie wychodź codziennie z karczmy pijany – rzucił swobodnie Malepis. Wskoczył w siodło i pytająco popatrzył na skonfundowanego wojaka. Tamten machnął ręką, dosiadł konia i ruszył pierwszy, konie żołnierzy odgrodziły na chwilę Malepisa od Cadrona, a potem, już na drodze, w pełnym słońcu i tak nie miał okazji, by porozmawiać z młodzianem. Wlókł się ponuro na końcu nieśpiesznej kawalkady i zastanawiał – wrócić i poszukać w krzakach Hondelyka czy jechać i uciec gdzieś przed kwaterą, czy uciec już teraz, czy... Zgrzytnął zębami.

–...musi mu się przysłużyłeś, skoro cię znowu wzywa – zagadał dowódca, któremu przeszła chyba złość. – Rzecz jasna. Nie raz.

–Teraz chodzi o Ruppijel...

–Ach, Ruppijel – przeciągnął Malepis. – I co z nią?

–A co ma być? Skruszyła chyba ząb, wścieka się... Nawet nie pije. Od ciebie zależy czy wystąpi w orszaku ślubnym, a pan Jugry bardzo chce, żeby była.

–To ślub już? – zapytał ostrożnie Malepis.

Dowódca okręcił się w siodle. Z niedowierzaniem na twarzy rozejrzał się dokoła biorąc obecnych na świadków swego zadziwienia.

–Czy ci słońce mózg wypaliło? Przecież pojutrze, kiedy ma być! –

Czego się drzesz? – dyszkantem wypalił nagle Malepis. Cadron zrozumiał, że chłopak poczuł się pewniejszy przypomniawszy sobie, że jest potrzebny miejscowemu możnowładcy. – Co to – pożartować nie można? Nie? No to kiwaj się sobie w siodle...

Wysunął się na czoło i hardo wyprostował plecy. Oficer skrzywił się posłał za nim "śmieszna" minę i kilka ruchów biodrami. Po kilku krokach zapomniał o krzywdzie, zwolnił i podjechał do Cadrona.

–Udało ci się – powiedział. – Jugry ma jedną tylko córkę, na ten ślub czekaliśmy od lat. Będzie zabawa, że hej! Bo to – Wyciągnął dłoń i zaczął prostować w miarę wyliczania palce. – dwie trupy komediantów, turniej minstrelki, przyjechało ich już ze czterdziestu, sześciu presto...

presty... prestygatorów, czy jak ich tam; potem turniej, cały dzień – arbalety, łucznicy, rycerstwo – wiadomo, nawet ciury będą się poduchami

okładać. Będą jaja! A, takiego jednego, Litti Harta mamy dla kata, okradł znajomka, to mu kat fiuta na trzy razy utnie...

Słuchający go nieuważnie Cadron zainteresował się wbrew dręczącemu go od skoku Hondelyka w krzaki niepokojowi:

–Na trzy razy? To takiego ma?...

–Eee, nie – skrzywił się żołdak. – Nasz kat to fachura, może ci na sześć plasterków obrznąć.

–Mnie? Dzięki, nie wartem takiej obsługi...

Malepis zdarł nagle konia, zawrócił.

–Cadronie – powiedział. – Nad źródłem został mój kapelusz, wróc się, co? – I zanim zaskoczony Cadron zdołał otworzyć usta ze złością potarł plamę na kolanie: – Czyste porty zapaprane! Żeby to ch-ch-chudy bąk!... Cadron poczuł, że słońce chlusnęło na głowę wiadrem ukropu. Plama na szarych spodniach rozjechała się, potroiła, aż zrobił się z niej szereg, smuga szarości. Potem wróciła do poprzedniej pojedynczej postaci. Plama. Jedna plama. Na szarych spodniach. Szarych! Pytania zrodziły się błyskawicznie, runęły do ust i gwałtownie powstrzymane spowodowały, że rozkaszał się aż do łez. Malepis skorzystał z tego, że żołnierze wyprzedzili już ich, mrugnął do Cadrona i pognał za drużyną. Cadron pokaszując w rozterce zawrócił i z głową pełną rozchwierutanych myśli pogalopował z powrotem.

Młodzian odprowadził go wzrokiem i szerokim zawadiackim uśmiechem, po czym okręcił wierzchowca i dołączył do drużyny.

–...bodaj go! A przepowiadałem – nażresz się tej ich zieleniny to i

zasiądziesz na stolcu na pół dnia, ale on nie i nie! To zdrowe! No i

masz... – O czym mówicie? – zainteresował się Malepis.

–A o takim jednym mądrali z naszej wsi – objaśnił jeden z żołnierzy.

Wydatne bruszysko telepało mu się w rytm końskich kroków omal nie uderzając w łęk siodła. Miał na boku nosa ogromną brodawkę, przez co nikt nie wiedział jakiego koloru ma oczy, bo wszyscy tylko na purchawę zerkali.

–Był w podróży i trafił w okolicę, gdzie wszyscy żarli jakąś ci taką roślinę i żyli prawie po sto lat. To on się uparł, że też to jeść będzie, posiał, zżął i się napchał. Ot! – żołnierz plasnął ręką w kolano. – Mielim pogrzeb zacny dwa dni temu.

–Bo nie wszystko co zdrowe dla każdego jest zdro... dobre – z mądrą miną wtrącił się jadący obok niego wojak.

–No ta, weźmy na ten przykład pochmielunek – jeden używa kwasu z ogórków, drugi tylko kisłe buraki, trzeci kwaśnym mlekiem zapija, czwarty maślanką, trzeci zaś bierze...

–Trzeci już był – przerwał Malepis.

–Co? – zapytał wyrwany ze słowotoku grubas. – Jaki trzeci?

–Ten trzeci, co już był – cierpliwie objaśnił młodzieniec.

–Gdzie już, jucha, był? – zniecierpliwił się wytrącony z równowagi wiarus. Dwaj kompani zarechotali. Wojak ściągnął wodze i zanim Malepis zareagował znalazł się tuż obok, twarz miał purpurowa i ściągniętą gniewem. – Będziesz ty sobie jajca za mnie... – Zamachnął się krzepkim kułakiem.

–Trenko! – Wrzasnął dowódca. – Zostaw! Ma robotę we dworze, a jak się

poskarży Jugremu, to ci za nią włoży tyle batów, że będziesz się chciał zamienić z Litti Hartem!

Trenko zasapał wściekle, pomyślał, zezem zerknął na brodawę, jakby u niej szukał rady i opuściwszy pięść, wymruczawszy kilka rynsztokowych obietnic ze złością szarpnął wodze i wrócił na swoje miejsce w kondukcje.

Malepis otworzył usta, ale z tyłu rozległ się stukot kopyt galopującego konia, wszyscy odwrócili się. Cadron gnał, jakby zobaczył diabła, w rękę ścisnął jaskrowoczerwony kapelusz, który z dziwną miną już kilkadziesiąt kroków przed Malepisem zaczął wyciągać w jego stronę.

Zatrzymał konia, cisnął okrycie głowy młodzianowi. Zachichotał. – Masz! – No, mam. Dziękuję – warknął Malepis. – Czego się szczerzysz?

–Nic.

Żołnierze odjechali już kawałek, Malepis sprawdził czy mogą ich słyszeć.

–Gadaj! Cadron zachichotał, podjechał bliżej.

–Zarazo, nic-żeś mi nie powiedział, że to ty – powiedział z wyrzutem.

–Kiedy miałem powiedzieć? – mruknął Hondelyk-Malepis. – Jak usłyszałem zbrojnych, to musiałem się ukryć. Mam z Jugrym na pieńku, nie darowałby sobie takiej okazji. Wszystko za szybko poszło...

–Oj tak – powiedział dziwnym tonem Cadron.

–No to wykrztuśże w końcu co cię tak śmieszy?

Cadron wskazał brodą kapelusz.

–Co?

–Nic ci to nie mówi? Barwa, kształt?

Hondelyk chwilę wpatrywał się w trzymany w ręku filcowy kłobuk z małym fantazyjnym piórkiem. Nagle przypomniał sobie ostatnie słowa dowódcy, jęknął.

–Widzę, że zaczynasz kumać. Właśnie tak – Cadron ruszył do przodu omijając skamieniałego Malepisa.

–Nie! – jęknął młodzian.

–Tak – rzucił przez ramię Cadron. – Znalazłem ją, zapłaciłem za narzędzia, kubrak i kapelutek, obiecałem zresztą, że narzędzie zwrócimy. Nakazałem, żeby się zaszyła w mysią dziurę, co jeszcze mogłem zrobić?

–Baba! – jęknął głosem Malepisa Hondelyk. Dogonił Cadrona i powtórzył okrzyk.

–Dziewka – poprawił go przyjaciel. – Wykształcona w rwaniu zębów, i mało kształtna, jak na dziewczuchę, trza przyznać. – Ironicznie oszacował długim spojrzeniem Malepisa. – Jak to mówią – długa jak miesiąc i chuda jak trzos, a na piersi wpadnięta jak ciasto z zakalcem, ale jednak dziewczka.

Konie szły stępa, nikt ich nie poganiał. Cadron chichotał do woli, ale w końcu spoważniał.

–I co teraz?

–Nie wiem. Mam wyrwać ząb jakiejś kobiecie, pewnie jakiejś znacznej, skoro Jugry aż zastęp na spotkanie wysłał. Nie chcę nawet myśleć, że to może być jego żona albo kochanica.

–Może panna młoda?

Malepis popatrzył na Cadrona z wyrzutem: – Naprawdę potrafisz

pocieszyć!

Dowódca zerknął przez ramię.

–Śpicie tam, czy jak? – huknął.

Trenko skorzystał z okazji żeby dopiec Malepis:

–Pewnie ją obszczypuje! – Zarechotał głośno, ale widząc, że nikt nie się przyłącza wydusił z siebie jeszcze jedną wymuszoną i sztuczną salwę śmiechu i klepnąwszy w ramię najbliższego kompana zamilkł. – Umiesz rwać zęby? – półgłosem zapytał Cadron. Malepis jechała w milczeniu z zaciśniętymi ustami. – No powiedz – umiesz czy nie?

–Umiem wybijać – warknęła dziewczyna.

Cadron obruszył się, zamierzał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale chwila zastanowienia wystarczyła, żeby zrezygnował. Malepis sięgnęła za siebie do przywiązanego do siodła kuferka, przeciągnęła go przed siebie i rozpiąwszy pasy odchyliła wieko i zaczęła penetrować zawartość. Cadron wychylił się w siodle i zaglądał przez ramię. W środku starannie wybitym grubym pluszem do wieka przymocowane były skórzane pętelki, w których siedziały mosiężne wypolerowane do błysku narzędzia – szczypce, noże, cęgi i kilka innych, których przeznaczenia nie sposób było się domyśleć. Kiedy Hondelyk zaczął gmerać w kufrze odsłoniło się jakby drugie dno, przekładka, gdzie w podobnych pętlach osadzono małe fiolki z ciemnego szkła i srebra, a na właściwym dnie małe z różnokolorowej skóry uszyte mieszki. Między przekładką o wiekiem i dnem leżały cienkie długie zwoiki materiału – Malepis zajrzała do jednego i widząc sztywne łodygi wysuszonych ziół zwinęła starannie z powrotem i westchnąwszy z rezygnacją porządnie

przywróciła ład, zamknęła kuferek i przesunęła na miejsce. Powiedziała do siebie "hm" i zerknęła na Cadrona. – Kiepsko z nami – zapytał-stwierdził towarzysz.

–Jeszcze nie wiem, ale dobrze nie jest. Konie zmęczone, nie uciekniemy, jak się poszkapię – kat z nami zatańcuje. Jugry to cham i nie będzie się wahał, jeśli trafi mu się okazja do zabawienia gości i zaspokojenia własnej ponurej natury.

–Może to nie ma sensu, bo już za późno na dywagacje, ale po jakie licho pchaliśmy się tym szlakiem?

–Bo krótki, a objazd ani bardziej bezpieczny, ani miłszy... Myślałem, że przesmyrgniemy się raz-dwa. – Wzięła głęboki oddech. – Licho-licho nadało! Kto mógł przypuszczać...

–Daj już spokój. – Cadron pochrząkiwał przez kilka kroków, szukał jakichś słów na pocieszenie, chwilę temu zdał sobie sprawę, że choć wyglądało to w tej chwili dla nich obu, dla niego zwłaszcza, śmiesznie, to, w gruncie rzeczy, zabawne nie było. Jechali do dworu raptusa, który miał coś do Hondelyka, jechali wykonać pracę, o której nie mieli pojęcia. Nad plecami wyprzedzającej ich drużyny, w rozgrzanym falującym powietrzu zamajaczył katowski pieniek. Cadron zobaczył go tak wyraźnie, że mógł policzyć wystające guzy ściosanych sęków. I bure plamy na bokach. – Może wrócę do prawdziwej Malepis i... Oficer wstrzymał konia, odwrócił się i wyraźnie zniecierpliwiony ryknął:

–Co wam tam – strzałę posłać!? Sam mi tu! Bo, jakem Nulik!...

Wymienili spojrzenia i jednocześnie ponagliли konie, zanim zbliżyli się do

kawalkady Malepis szepnęła:

–Może tak trzeba będzie zrobić, ale powiem ci czy i kiedy. Na razie zastosujemy się we wszystkim...

Dołączyli do drużyny, Nulik gestem rozpędził konnych tak, że Cadron i Malepis musieli wjechać pomiędzy konie i – już wyraźnie strzeżeni ze wszystkich stron – kontynuowali jazdę. Żołnierze dzielili się ze sobą informacjami o nastrojach u dzierżawców, przechwalali ostatnimi podbojami. Malepis po kilku opowieściach powiedziała głośno, że gdy się tak ich posłucha, to wygląda, że nikomu prócz nich, tęgich wojaków, dziewczyny nie dają. Na co jeden z jeźdźców ryknął: – Bo tak i jest! co pozostali przyjęli z radosną aprobatą. Zmienili jednak temat i zaczęli radzić sobie nawzajem gdzie się ulokować podczas uczty żeby najszybciej dorwać się do jadła i napojów. Omal nie rozgorzał dyskurs o przeszłości panny młodej, ale Trenko – ostentacyjnie zmierzwszy spojrzeniem obcych kategorycznie zabronił gadać na ten temat. Rozmowa przygasła niemal na całe popołudnie. Słońce zawisło nad horyzontem zmiatając cienie na prawą stronę drogi, a jeszcze trochę później w ogóle do rowu. Na poboczach zaczęły pojawiać się z rzadka najpierw, potem coraz częściej drzewa, potem jeden i drugi chłop w polu. Wjechali w końcu w aleję wiśniową, dotarli do krawędzi płaskowyżu, na którym się znajdowali i zaczęli zjeżdżać w dolinę, w której znajdował się gród i dwór. Cadron popatrzył w dół, potem odruchowo obejrzał się do tyłu i zerknął na słońce – obliczał ile czasu dzieli ich od lipowego źródła i nie był szczęśliwy z wyników obliczeń. Prawdziwa Malepis nie miała szans dotarcia w szybkim czasie na pomoc. Gdyby nawet

chciała. – A ta banda, co tu harcuje? – zapytał Cadron Trenkę. Postanowił na wszelki wypadek wyjaśnić wszystko, żeby mieć jasny obraz gdyby co. – Duża jest?

–E, srali muszki będzie wiosna, będzie lepiej trawa rosła! – machnął lekceważąco ręką Trenko. – To te wiejskie pierdoluchy o nich ciągle gadają... Banda?! Czterech zbiegłych chłopca, może pięciu. Gdzieś po lasach się szwendają, jak wytrzeźwieją, to wybiją zęby komuś, prosiaka zaszlachtują, babę wyonacą. Nawet ich nie ścigamy – chłopstwo po domach siedzi, bab i krów pilnuje, kłusowników mniej, bo się boją chodzić do lasu, ciule.– Splunął niemrawo, odcharknął i poprawił. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko machnął ręką.

Malepis zacisnęła zęby, ale nie odpowiedziała na obraźliwą dla chłopstwa perorę Trenki. Konie eskorty przyspieszyły, Pok Hondelyka i Gaber Cadrona poszły ich śladem, zakłusowali na długim stoku, potem żołnierze widząc bliski cel spięli konie i galopem dotarli do dworu, rozpędzając snującą się pomiędzy czworakami biedotę, psy i kozy dotarli do stajen. Od strony kuchni niemal całe podwórze zablokowały wozy, wózki i tragarze z pakunkami, kojcami z drobiem, worami, skrzyniami węgla drzewnego i wiązkami drewna. Ochmistrz z laską w ręku i dwaj jego pomocnicy usiłowali zaprowadzić w tej gmatwaninie jakiś porządek, ale ponieważ tylko oni byli tym zainteresowani ich głosy ginęły w ogólnym tumultcie, a rozdawane często razy przyjmowane były jak dopust z pokorą i obojętnie. Rozdarł się jakiś rozzłoszczony osioł, zawtórowały mu zamknięte w kojcu świnię, żałośnie, rozpaczliwie, jakby słyszały już wizg ostrzonych

noży, ale gawiedzi to nie przeszkadzało – wszyscy czuli, że bałagan i wrzawa musi być, i że skończy się to samo, cokolwiek by nie robili: węgiel trafi do kuchni, zapasy do spiżarni, świnie i drób na ruszt, a butle, te pełne i te chyłkiem i w pośpiechu osuszone, do piwnicy. Trenko gwizdnął ogłuszająco, ale widząc, że nikt do nich nie śpieszy zeskoczył z konia i wskazał palcem dwóch podwładnych:

–Wy dwa zajmiecie się końmi – i widząc malujące się na ich twarzach żal i krzywdę dodał: – Wynagrodzę wam to, a oni – wskazał głową Cadrona i Malepis – sami się swoimi zajmą. No, już-już!

W stajni panował miły chłód i łagodny półmrok. Cadron wprowadził Gabera na wskazane brudnym paluchem wojaka miejsce, wrócił do ustawionych przy wejściu wiader z wodą, sprawdził, czy już się nagrzała, nalał do koryt obu ogierom rozkiełznanym już przez Malepis. Gdy konie zaspokajały pragnienie i głód wyczyścili je, choć żołnierze, którzy poprzestali na zdjęciu siodła i zadaniu obroku ponuro wpatrywali się w nich i niecierpliwie wzdychali i pomrukiwali. Cadron przeciągał jak mógł czyszczenie czekając na sprzyjającą rozmowie chwilę samotności, ale doczekał się tylko, że jeden ze strażników nie wytrzymał i warknął:

–Zara tu przyjdą stajenni, to wyczyszczą. U nasz o konie to sie dba!

–A ja sama dbam o swojego! – zjadliwie oświadczyła Malepis biorąc się pod boki i miną oraz postawą dając znać, że tylko czeka na powód do awantury. Sepleniący wojak zgrzytnął zębami i skinął na kolegę. Wyszli przed stajnię i stanęli na tle jasnego prostokąta wrót. – No właśnie...

–Czy masz jakąś wiedzę o darciu zębów? – szeptem zapytał Cadron. –

Niewiele – przyznała Malepis. – Śpieszyłem się, udało mi się tylko

powłokę... Coś tam mi się kołacze... Może jakoś się wykręcimy.

–"Coś", "może", "jakoś" – syknął Cadron. – Oj, doczekamy się kiedyś.

Słyszałeś do jakiej perfekcji dochodzą kaci? Na sześć plasterków kuta... –

Przestań! – pisnęła Malepis. – Nie uchodzi niewiastom takich rzeczy

słuchać! Hańba!

Oślupiały Cadron zamarł z otwartymi ustami, od wrót dobiegł ich

zniecierpliwiony głos Trenki: – Co wy tam, jaja znosicie? Idziemy, Jugry

was oczekuje!

–Już! – krzyknęła Malepis machnąwszy uspokajająco ręką, potem

pochyliła się do Cadrona. Gdy tamten skłonił ku niej głowę powiedziała

półgłosem: – Kiedyś do pewnej karczmy wbiegł spocony wojak i wrzasnął do

karczmarza: "- Piwa, szybko-szybko, bo zaraz się zaczniesz!". Zaskoczony

karczmarz utoczył szybko piwa i podał, wojak wypił, zażądał drugiego i

trzeciego. Wypił je duszkiem i odetchnął. Karczmarz po chwili otrząsnął

się z zaskoczenia i pyta: "Pieniądze masz?" A wojak na to: "- No i się

zaczął!". – Wyprostowała się i klepnęła znieruchomiałego Cadrona w ramię.

–Idziemy.

Potrząsnęła głową, krótkie włosy zafalowały i opadły na miejsce. W

marszu chwyciła swój kuferek, szła pierwsza swobodnym krokiem. Cadron

jęknął cicho, rzucił szczotkę na półkę i ruszył za nią. Po przekroczeniu

progu uderzyło ich w oczy światło słoneczne, w uszy gwar, który przez czas

kiedy czyścili konie nie ścichł ani o jotę. Trenko niecierpliwie

potrząsnął głową i ponaglił ich machnięciem ręki. Pchnął żołnierza, by

torował drogę, poszedł za nim. Obrzeżem tłumu, wyprzedzani przez obficie serwujących gawiedzi kopniaki i szturchańce żołnierzy dotarli do frontu piętrowej budowli z kamienia przedzielanego potężnymi dębowymi belkami, z oknami przesłoniętymi błyszczącymi w niskim słońcu kolorowymi szklami. Tu też trwało zamieszanie, ale uwijała się służba a nie chłopcy czy dzierżawcy. Przewodnik zatrzymał się z boku drzwi, Trenko odgarnął zamaszystym ruchem przeszkadzających mu dwóch chłopaków i wszedł do korytarza. Przed rzeźbionymi drzwiami zatrzymał się wskazując kciukiem klamkę.

–Ruppijel tam jest? – zapytała Malepis.

Mina Trenko zaskoczyła obu – rozdziawił gębę i cofnął głowę.

–Coo tam jeeest? – zapytał ponad miarę przeciągając słowa. – No...

Od wewnątrz ktoś mocno szarpnął drzwi, jednocześnie ktoś chyba inny, bo z głębi komnaty zagrzmiął:

–No, gdzie jest ta Malepis?

Dziewczyna ruszyła w kierunku progu, zatrzymała się i niecierpliwie powtórzyła pytanie: – Jest tam czy nie?

–Zdurniała... – jęknął Trenko. Chwycił za ramię dziewczynę i wepchnął do pokoju, sam wkroczył za nią i do razu od progu radośnie zawołał:

–Pyta, panie, czy Ruppijel jest tutaj!

–A gdzie ma być! – warknął niezadowolony grubas siedzący przy stole w otoczeniu całej sfory łaciatych czarno- białych psów. – Toć, że tu!

Oderwał kawałek mięsa z misy i rzucił największemu psu, reszta karnie siedziała w półkręgu cierpliwie czekając na swoją kolej.

–Nie... – zarechotał Trenko. – Pyta czy jest w tej komnacie!

–Zdurniałaś, duszko? – zapytał łagodnie Jugry uważnie i – to widać

było wyraźnie – łakomie wpatrując się w Malepis. – Chodź no tu! –

Dziewczyna posłusznie podeszła bliżej, Jugry wykonał w powietrzu ruch

jakby wskazującym palcem drapał od spodu w deskę, Malepis podeszła jeszcze

bliżej. Gospodarz raptownie wyciągnął rękę, chwycił ją za przegub i

gwałtownie przyciągnął do siebie, wykręcił szybko i zręcznie jak na swoją

tuszę i zaskoczony Cadron, który zamierzał ruszyć w obronie Hondelyka

zrozumiał, że Jugry osiągnął cel – dziewczyna siedziała na jego grubym jak

bal udzie, a łapsko mężczyzny spoczywało na jej kolanie. – Ruppjel tutaj?

A co ja bym robił tu z klaczą? Hę? Mój ty chudy wydrwizębie?

–Ja nie tak... – pisnęła Malepis. Rzuciła szybkie zrozpaczone

spojrzenie na Cadrona, ale widząc osłupienie malujące się na jego obliczu

roześmiała się fałszywie. – Chodziło mi o to, że ją, panie, lubisz...

–Lubisz? – ryknął Jugry. – Ja ją kocham, bo zasługuje na to. –

Zasapał wściekle. – Nikt na to nie zasługu... – Chytrze zmrużył oczka i

odsunawszy się trochę od Malepis przyjrzał jej uważnie, od czubka głowy do

czubka buta. – Może trochę ty, moja szczapko. – Chwycił w palce policzek

dziewczyny i po- tarmosił. – Nie przytyłabyś trochę, co? – Płasnął dłonią

w kolano, Malepis stęknęła i zaczęła rozcierać nogę. Na jej policzku w

oczach rozkwitał czerwony pąk-ślad po uszczypięciu Jugry'ego. – Tu i tu i

tu! – Chwycił w garść kuperek Malepis, poklepał w brzuch i na koniec

nakrył bochnem dłoni lewą pierś. Ruchy miał tak szybkie, że Malepis nie

nadażała z obroną, zdołała tylko pisnąć. Wypuszczony z ręku kuferek huknął

o podłogę. – Co tam masz? – zainteresował się Jugry.

Dziewczyna skorzystała z chwili nieuwagi, zanurkowała pod opasującą ją ręką, zeskoczyła z kolan, odsunęła miche pełną parującej smażonej wołowej wątroby, drżącymi rękami zaczęła rozplątywać rzemienie opasujące kufer. Jugry cmoknął niezadowolony, ale nie napierał, sięgnął do naczynia, chwycił kawał wątroby i nie zważając na popiskujące psy wybił z rozkoszą zęby w przysmak.

– Kocham wątrobę – wymamrotał do Malepis. – Mogę ją zjeść na okrągło, nie ma dla mnie lepszego żarcia. Żeby tak było miało po sześć takich pieczonek... – Rzucił psom dwa kawałki, sobie wsadził do ust największy. – Kiedyś zatrzymałem się w jednej podłej karczmie, pytam oberżystę co ma do jedzenia, a on, że wątrobę. Dawaj mi tu, wrzeszczę. I zjadłem całą wołową, jego mać, wątrobę. A on – bystry był, psiajucha – gdzie wypadł, jak jeszcze jadłem i kiedy skończyłem – patrzę wnoszą świeżutką, syczącą, prosto z patelni, jeszcze jedną. Pochłonąłem i ją... – Nalał sobie piwa i łyknął, dwornie powstrzymał beknięcie, cofnął tylko odrobinę głowę i syknął cicho. – A on powiada, tak nieśmiało: " Lubisz, jak domniemywam, panie, wątrobę!" – H-haa! Ch-cha-ha! – rozryczał się Jugry. – Po dwóch wołowych, on mi mówi, że domniemywa!!! – Śmiał się długo, w tym czasie Malepis zdążyła otworzyć kufer, rozłożyć narzędzia na stole. – Wiesz ty, że on pogonił do stodoły i zabił z dwoma synami krowę i tę właśnie mi wątrobę podsunął? Co? Ot, wierność. – Pokiwał głową. – Sowiec mu odpłaciłem, zasługiwał na to. – Posapał chwilę osowiałym wzrokiem wpatrując się w dno miski. – Won, wy mi stąd, nie ma! – rozpędził psy.

Wyjął ociekający tłuszczem ostatni kawałek i z żalem podniósł do ust. – A co ty tu? Co to jest? – Niemrawo zainteresował się rozkładanymi narzędziami. – Nowe?

–Tak, udało mi się zrobić na wzór... – Malepis szybko rozesłała na stole chustę, zaczęła rozkładać na niej narzędzia objaśniając jednocześnie: – To zwykłe kleszcze, to do przednich zębów, tu skrobak, a tu grabowla, to zaś "koźła nóżka"... – Zerknęła na wpatrującego się z obrzydzeniem Jugrego i pobladłego Trenko. – To się nazywa miazgociąg, bo w zębie, jeśli byście roztlukli taki na kamieniu, jest taka miazga, która...

–Przestań... – jęknął Trenko.

–Tu zaś mamy noże do cięcia dziąseł, kilka rodzajów; o, jest też otoczak; to repeter; a to dławnica. Tu mamy zdzierę i kowadelko i trzaskawkę, to jest – roześmiała się cicho – tak go nazywam, wyjec, co służy do szczególnie ciężkich...

Trenko okręcił się dookoła własnej osi i gruchnął na podłogę. Cadron odskoczył w bok, gdy wojak waląc się na wznak rozłożył obie ręce, jakby chciał rozprostować skrzydła; ręce poszybowały łukami w przeciwne strony i uderzywszy wierzchami dłoni o podłogę zamarły. Głowa najpóźniej z całego ciała spotkała się z deskami, za to wydała z siebie najgłośniejszy odgłos.

Jugry zaczerpnął powietrza, wskazał żołdaka i nagle zbulgotało mu w gardle, szarpnął głową, poderwał ją, wybałuszył oczy. Wydał z siebie przeraźliwy bulgotliwy ryk. Malepis rzuciła się do zawijania rozłożonej na stole tkaniny, zagrzechotały, rozbrzęczały się uderzające o siebie przerażające narzędzia. Torsje wstrząsały otyłym ciałem Jugrego, duszący

kwaśny smród zapanował w komnacie, psy rozhaukały się dobierając do niespodziewanej uczyty. Cadron zacisnął zęby, odbiegł od stołu, przystanął czekając na Malepis, która pośpiesznie zgarnęła rogi tkaniny, pod pachą umieściła kuferek i rzuciła się do drzwi. Byli już na korytarzu, gdy z pokoju dogonił ich wrzask gospodarza będący mieszaniną wspomnień dotyczących rodziców obu uciekinierów i obietnic ciekawych zajęć dla rezydującego w dworze kata. Pobiegli korytarzem ścigani na przemian odgłosami wymiotów i rykami Jugrego. Przy drzwiach Cadron zatrzymał się i miną zapytał Malepis o kierunek ucieczki. Zatrzymała się w progu.

–Potrzymaj – powiedziała lekko zdyszana. Cadron chwycił kuferek, odchylił wieko oczekując, że towarzyszka wrzuci bezładnie narzędzia i pognają dalej, ale Malepis zaczęła systematycznie wyjmować pojedynczo narzędzia i metodycznie umieszczać je w odpowiednich gniazdach. Na niecierpliwe pochrząkiwania Cadrona podniosła wzrok, niedbale wstrząsnęła ramionami i nie wykazując się pośpiechem kontynuowała pakowanie. – Gdzie to?... – zastanawiała się nad dziwacznym rygłem z okrągłymi nacięciami.

–Na Kreista, pośpiesz się! – wymamrotał Cadron. – Nie słyszałeś, co on robi z przyrodzeniami skazanych...

–A co mnie to? – Malepis figlarnie poprawiła włosy i klepnęła się w szczupłe biodro, ale widząc wzrastający gniew Cadrona poklepała go po ręce. – Spokojnie, Jugry nic nam nie zrobi. – Co ty możesz wiedzieć? – syknął Cadron.

–Skoro Ruppjel to klacz, to póki ona będzie potrzebowała pomocy nic nam nie grozi. Jugry kocha wątrobę wołową i konie. – Dokończyła pakowania

narzędzi, zatrzasnęła wieko, cisnęła płachtę w kąć i dziarsko skinęła głową na Cadrona. – Możemy iść.

–Słuchaj – Cadron podreptał za odważnie maszerującą dziewczyną, dogonił ją, obiegł z prawej strony. – Skoro on kocha konie, to nie dotykaj ty tej klaczy, może nas tylko zabije za opieszałość?

–Spokojnie – powiedziała dziewczyna. Przerzuciła kuferek z ręki do ręki, syknęła: – Cham! – Dotknęła lewej piersi. – Uszczypnął mnie jakbym była jego... Ech! – Rzuciła kuferek w stronę Cadrona. – Może byś się tym zajął?! Skrajem wrzącego tłumu dotarli do stajen. Malepis zapominając na chwilę o własnym ciele maszerowała szerokim hondelykowym krokiem, niedbale rozgarniając wpadających z rzadka pod nogi ciurów. Gdy podeszli pod stajnie zręcznie chwyciła za ucho przebiegającego parobka, którego rozradowane spojrzenie i chwiejny krok świadczyły, że służba potrafi przekształcić bałagan w spadające jej z nieba chwile słodkiego chaotycznego nieróbstwa. Chłopak pisnął, jęknął, wyhamował gwałtownie czując, że krok w przód pozbawi go ucha.

–Czego... – wrzasnął hardo. – Aj! – dokończył w innej tonacji, gdy Malepis skręciła lekko rękę.

–Prowadź do Ruppijel, potem przyprowadzisz stajennego. – Puściła ucho, ale chłopak nie kwapił się do wykonania polecenia. – Goń, bo się pan dowie jak się starasz przy jego koniu.

–Tam – wskazał ręką budynek przy stajni. Zdmuchnęło go z miejsca.

Ruszyli do wskazanej budowli, była cała murowana z obszernym wysypanym piaskiem placem ogrodzonym okorowanymi balami. Na pięć-sześć kroków wokół

ścian stajni ziemia była wysypana świeżym, starannie wygrabionym piaskiem.

Nikt nie ośmielił się zostawić na poliniowanym piasku śladu stopy, Malepis również skręciła, żeby wejść do stajni po gładko uklepanej ścieżce.

Znajdowali się kilka kroków przed stajnią, gdy przez wiszący nad podwórzem gwar zaczęło się przebijać bolesne rżenie konia. Cadron poczuł ciarki na plecach, niespokojnie zerknął na Malepis. Zatrzymała się i przekrzywiając głowę słuchała chwilę, nie starając się podejść bliżej. Powinniśmy skorzystać z rozgardiaszu, pomyślał Cadron, i zwinąć się stąd najszybszym galopem, na jaki stać nasze konie. Jeśli nie pomożemy klaczy – wykastruje nas... mnie, to znaczy. A jak mamy pomóc, skoro...

–Cadronie! Cadronie! – powtórzyła dziewczyna. – Nic nie mąć, nie wikłaj...

–Akurat! Jak? Jak chcesz...

Malepis parsknęła radosnym śmiechem. Machnęła ręką i gdy naburmuszony Cadron podszedł uczepliła się jego ramienia i poprowadziła do stajni, ale przed drzwiami zatrzymała się. – Poczekamy na koniuszego. – Ponad głową Cadrona rozejrzała się po podwórzu, beztrosko zanuciła coś pod nosem. – Wiesz, że nie byłem jeszcze na żadnym weselu? – powiedziała

Malepis-Hondelyk, głosem dziewczyny, intonacją mężczyzny.

–Nie, proszę – jęknął Cadron. – Odjedźmy stąd, znajdę jakieś fajne weselicho, zaproszę cię, naraję nawet najładniejszą druhnę...

–Po co mi druhna? – zalotnie przewróciła oczami. – Dziewosłęba, w to mi graj! Albo pana młod... – Zabiję... – obiecał Cadron. – Jak tylko stąd się oddalimy. Jeśli ujdziemy z głowami!

–Jakoś – wzruszyła ramionami – nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś mi robi krzywdę. Kobiety powinny częściej... – przerwała na widok biegnącego w ich kierunku koniuszego, wymachującego pękiem kluczy. Jakby na powitanie w stajni cierpiący koń zarżał boleśnie, głośniej i coś huknęło. – Jeszcze sobie nogę złamie – syknęła Malepis. – Prędeż!

Koniuszy minął ich biegiem, zręcznie otworzył zamek szerokich wysokich drzwi i szarpnięciem rozwarł wrota. Malepis ominęła go i podbiegła kilka kroków, tam gdzie zza przegrody buchnęło rozpaczliwe kwikliwe rżenie. Stała tam na drżących nogach piękna jabłkowita klacz, ze spienionym pyskiem, wilgotnymi od potu bokami. Na widok ludzi zadarła do góry łeb i przeciągle zacharczała, zupełnie jak zmęczony bólem człowiek. – Moja ty biedna... – powiedziała Malepis i pochyliła się żeby zdjąć zasuwkę.

Koniuszy podskoczył i gwałtownie odtrącił ją od drzwi.

–O nie! – powiedział. – Jeden chłopak ma wybite oko i poturbowany jest fest, drugi rękę w łubkach, jeszcze dwaj tylko posiniaczeni...

Oszalała z bólu – zupełnie niepotrzebnie wskazał klacz. Zamarła na chwilę, jakby czekała na wynik rozmowy i – widząc, że Malepis nie zamierza podejść bliżej – sama skoczyła do drzwi i huknęła w nie przednimi nogami, rżąc odwróciła się błyskawicznie i poprawiła potężnie tylnymi. Solidne dębowe drzwi zadygotały.

–Ho-ho! – skomentowała Malepis. Przygryzła dolną wargę i w zadumie wpatrzyła się w Ruppjel. – Piwa z okowitą – powiedziała. Cadron zaczerpnął powietrza, chcąc zaprotestować, ale przechwyciła jego spojrzenie i patrząc mu w oczy, ale zwracając się do koniuszego

powtórzyła: – Każ przynieść wiadro piwa i dużą flachę jakiejś przepalanki.

Koniuszy podszedł do drzwi i przeraźliwie gwizdnął, po chwili stanął przed nim młody chłopak, dostał dyspozycje i pognął znikając z prześwitu wrót. Malepis podeszła do kuferka, przykucnęła i pogwizdując otworzyła go, zastanawiała się długo, w końcu westchnąwszy usiadła krzyżując nogi i zaczęła metodycznie przeszukiwać przedział z buteleczkami, grzebała długo zanim zatrzymała się na jednym miedzianym okrągłym tubusie. Przeczytała wydrapane na boku słowo, podrzuciła go, złapała. – Tak... – rzuciła w przestrzeń.

Rozejrzała się wokół siebie, znalazła długie grube źdźbło słomy, starannie odłamała kolanka, dmuchnęła w rurkę, przechwyciła pytające spojrzenie Cadrona, mrugnęła do niego. Odkręciła wieczko tubusa, powąchała. Cadron wzruszył ramionami, odszedł dalej od drzwi i również usiadł na słomie opierając się plecami o ścianę. Klacz huknęła jeszcze raz kopytami w drzwi i zamarła. Po chwili koniuszy, który stał cały czas na progu stajni drapiąc się po pośladkach, odwrócił i poszedł w kierunku dziewczyny.

–Spijemy i co? – Zobaczymy. Patrzyłeś jej do pyska?

–Ciekaw jestem jak? – zapytał urażony. – Próbowałem. – Odgarnął włosy z czoła i pokazał kilka długich strupów na linii włosów. – Chwyciła mi głowę w pysk, ledwo zdążyłem odskoczyć. – Puścił włosy. – Diabeł w nią wstąpił. – Zerknął na klacz, stała tyłem do niego, ale wyglądała jakby słuchała co mówi. Splunął z żalem na podłogę. – O, jest... – mruknął widząc truchtających dwóch chłopaków, jeden taszczył antałek z piwem,

drugi dwie butelki z jasnobrązowym płynem. I pęk kufli. Malepis roześmiała się, skinęła na chłopaków. Kiedy podeszli powiedziała:

–Nalejcie do trzech kufli, skoro już je przynieśliście a resztę do

wiadra. Po chwili szpunt odskoczył, pienista struga uderzyła w dno jednego

kufła, drugiego, trzeciego, głucho zahuczała na dnie drewnianego wiadra;

gdy piana zbliżyła się do krawędzi Malepis oderwała kufel od warg i

poleciała: – Dość, teraz jedną flaszkę gorzały. – parobek zawahał się. –

No?

–Dawaj, dawaj! – ponaglił go koniuszy odstawiając swój kufel. Chłopak

z dużą wprawą palnął dnem butelki o uniesione do góry udo, korek wyskoczył

jak wystrzelony z procy, zapach miodu, imbiru i jeszcze innych korzennych

przypraw buchnął w nozdrza zainteresowanych poczynaniami Malepis mężczyzn.

Dziewczyna wstała, oddała pusty kufel drugiemu parobkowi i zerknąwszy na

cicho rżącą klacz szybko poderwała wiadro i przeniosła przez krawędź

niskich drzwi. Ruppjel widząc kątem oka ruch w swojej świątyni boleści,

szarpnęła się, odwróciła i skoczyła do drzwi, ale dziewczyna już była poza

zasięgiem jej zębów. Klacz zarżała ze złością w głosie, zatupała, kopyto

uderzyło w wiadro, Ruppjel pochyliła głowę i zaczęła węszyć, ludzie

zamarli a potem, słysząc, że trącone mocniej wiadro wywraca się popatrzyli

na siebie. Malepis ruchem głowy i rąk pokazała, że czeka na drugą porcję

napoju, chłopcy na palcach rzucili się do nalewania piwa i okowity.

Koniuszy przysunął się do ściany i wyciągając szyję zajrzał do boksu, a

potem wykrzywił się radośnie i zakiwał głową do Malepis. Ruppjel

zaczekała, podniosła kształtny łeb i popatrzyła na ludzi. Koniuszy

przesunął się przed zagrodą klaczy, podszedł od drugiej strony, zagadał, żeby ściągnąć na siebie jej uwagę, jeden z chłopaków ponaglony wzrokiem Malepis podniósł wiadro i umieścił w boksie a potem gwałtownie uskoczył. Ruppijel zerknęła na niego, zachrapała, przesunęła się, zauważyła wiadro, zawęszyła i zaczęła łapczywie pić. Towarzyszyło temu pięć długich pełnych ulgi westchnień.

–Zostało tam co? – zapytał szeptem Cadron wskazując antałek.

Jeden z chłopaków, ten który tak zgrabnie otworzył flachę wódki, trącił antałek i porozumiewawczo umiechając się pokiwał głową. Drugi pozbierał kufle i obaj zajęli się nalewaniem. Trójka miłośników piwa nie podnosząc się, żeby nie płoszyć pijącej klaczy, zgrupowała się pod ścianą.

–A ty od kiedy tak żłopiesz piwo? – surowo zapytał koniuszy Malepis.

Podnosiła właśnie kufel do ust, znieruchomiła, nadęła pogardliwie wargi.

–Jak mam ochotę to piję – powiedziała wyzywającym tonem.

–No, niechby to Jugry zobaczył – rzucił koniuszy. – Podobno nieźle tam – kiwnął głową w stronę dworu – narozrabiałaś. Ogłuszyłaś Trenkę?

–Ogłuszyłaś?! – syknęła oburzona. – Zemdła! Ścięło go gdy zobaczył moje narzędzia i tyle...

–Ale Jugry stracił całą przekąskę – zachichotał koniuszy. – Na gwałt biją tam świnię, ale to już nie to, cały dwór się trzęsie.

–A tam... – machnęła lekceważąco ręką. Przerwała, bo Ruppijel

wystawiła nagle łeb nad krawędź drzwi, patrzyła chwilę na znieruchomiłych ludzi a potem komicznie wstrząsnawszy głową wydała z siebie długie

dźwięczne beknięcie.

–No i dobrze – skomentowała Malepis. – Zaraz ją sieknie.

Rzeczywiście, zanim dopili swoje piwo klacz zarżała przeciągle, drugi raz, zatupała, koniuszy skinął na chłopaka, tamten zerknął do przegródki i machnął ręką.

–No, komu ochota, temu robota – rzuciła dziewczyna. Podeszła do swoich rzeczy, zanurzyła koniec słomki w tubusie, drugi raz, trzeci, sprawdziła, czy w rurce żdźbła jest odpowiednia ilość proszku. – Z której strony ją boli? – zapytała.

–Z lewej – szybko poinformował koniuszy. – Co tam jest?

–Gizi – rzuciła obserwując słaniającą się na nogach klacz.

–Jakie gizi?

–Gizi, co z nosa lizi! – warknęła. – Odczep się ode mnie. Trzeba ją położyć, tak, żeby miała ten bolący na wierzchu, bo jak się uwali na drugą stronę będzie niedobrze. No, już-już!

Koniuszy zacisnął zęby u skinąwszy na parobków otworzył drzwi,

Ruppjel zrobiła ruch jakby chciała skoczyć na ludzi, ale ugięły się pod nią przednie nogi.

–Szybciej, na Kreista! – syknęła dziewczyna.

Cadron mruknął coś pod nosem i odtrąciwszy koniuszego pierwszy wskoczył do przegrody, udało mu się chwycić klacz za szyję, gdy zaczęła się walić na bok, podtrzymał, żeby nie uderzyła głową o brukowaną podłogę, pomogli chłopcy i koniuszy. Jeden parobek zasiadł na przednich nogach Ruppjel, drugi spętał tylne i przywarował przy nich, koniuszy z obrażoną

miną przycupnął przy uszach. Cadron objął głowę konia, zerknął zaniepokojony na Malepis, a ona, jakby nie widząc jego spojrzenia, podeszła ze słomką, przykucnęła i wolno, żeby nie spłoszyć chrypiącej klaczy, łypiącej na nią przekrwionym okiem, pogłaskała ją po szyi, przesunęła rękę, delikatnie odwinęła wargę i zaczęła wypatrywać bolącego miejsca. Potem, cmoknąwszy przez zęby szybko pochyliła się i przytknąwszy koniec źdźbła do szczęki klaczy dmuchnęła w drugi koniec. Po stajni rozniósł się mocny zapach goździków.

–Trzymajcie – szepnęła dziewczyna. Wszyscy pomocnicy mocniej chwycili klacz. Szarpnęła się niemrawo, za drugim razem mocniej i jeszcze raz i ścichła. Malepis odczekała chwilę i odrzuciwszy słomkę obiema rękami zaczęła gmerać pomiędzy wargami klaczy. Robiła to po omacku, w napięciu, niewidzącym spojrzeniem wpatrując się w belkowany sufit. – Ach ty... – mruknęła i energiczniej zaczęła manipulować palcami. – Mam to gówna!... No, chodź... – Przyklęknęła i starając się wypatrzyć to coś pochyliła nad głową Ruppjel. – Jeeest!

Podniosła się i wypadła w przegrody. Coś brzęknęło, pojawiła się znowu z dwoma małymi buteleczkami w ręku.

–Jeszcze chwilka, moja śliczna – powiedziała do klaczy. Pacjentka sapała nie ruszając się. Dziewczyna chlusnęła w miseczkę lewej dłoni jasnej cieczy z flakonika, zębami otworzyła drugi, dołała drugiego płynu, zamieszała palcem i całą zawartość wtarła w dziąsła konia. – Może się ciskać – powiedziała odskakując. – Uciekajmy.

Pierwsza minęła furtę, za nią zakotłowali się chłopcy i koniuszy,

Cadron widząc przeszkodę w furcie przeskoczył górą, jeden z parobków huknięty w ucho przez wystraszonego koniuszego wrzeszcząc "Ała-ła-ła!" pobiegł do wrót. Drugi, zadowolony, że to nie jemu huczy w uchu roześmiał się głośno.

–Patrz – powiedziała Malepis. Podniosła do góry i przysunęła pod nos koniuszego wyszczerbiony szczerzący na wszystkie strony ostre końce kawałek metalu. – Ciekawa jestem jakbyś ty się czuł z takim gwoździem w pysku?!

–Co – ja? – Obrząził się koniuszy. – Nie mogę dopilnować wszystkich...

–No to dopilnuj, żeby ten ćwok, który opiekuje się końmi zajął się wynoszeniem w wiadrach gnoju na pola – warknęła rozzłoszczona Malepis. – Czy teraz o nasze konie dba ten sam tuman? – Yyy...

–No to sprawdź. Nic nie powiem Jugremu – powiedziała dziewczyna zajmując się pakowaniem swojego kuferka. – A ty nam migiem uzupełnisz zapasy, z antalkiem takiego piwa na czele. Wyjeżdżamy za chwilę.

–Powiem Jugremu, żeby ci... – Zadowolony z obrotu sprawy koniuszy poderwał się żeby biec do dworu.

–Nie trzeba! Nie potrzebuję zapłaty – wyprostowała się i zerknęła do przegrody Ruppjel. – Gdy się obudzi dobrze by było przepłukać jej jeszcze okowitą pysk i daj do picia wywar z koziałka i szaławii. – Wskazała palcem kuferek i pomaszrowała do drzwi. Cadron chwycił kufer i poszedł za nią. – Pośpiesz się. Jugremu potem powiesz, że to mój prezent ślubny.

Siedząc w cieniu pod stajnią czekali aż wyprowadzą ich konie, popijali zimne mocne aromatyczne piwo. Przegryzali kawałkami ciemnego, prawie

brązowego koziego sera.

–Nie wiedziałem, że tak się znasz na zębach – sapnął Cadron
sprawdziwszy, że w najbliższej okolicy nie ma żadnych dworskich.

Malepis prychnęła.

–Część to pamięć, a ponieważ już kiedyś miałe... miałam taki problem
z patykiem w zębach... – wzruszyła ramionami. Zza rogu koniuszy osobiście
wyprowadził Poka i Gabera, osiodłanych, z przytroczonymi bagażami. –
Dzięki – rzuciła Malepis podnosząc się, poklepała uśmiechniętego
przymilnie koniuszego po ramieniu, wskoczyła w siodło i zawiadła
nasunawszy na tył głowy wesoły czerwony kapelusik pogalopowała w kierunku
drogi.

Cadron dogonił ją dopiero na wspinającym się na płaskowyż stoku.

Odchrząknął raz, drugi.

–No?

–E, nic – powiedział fałszywie niedbałym tonem, ale nie wytrzymał
długo. – Hm, powiedz – jak przybierasz postać kobiety, tak jak teraz
było... To... tego, jesteś cały kobietą czy jak?

Malepis obdarzyła go długim spojrzeniem, zalotnie zatrzepotała
rzęsami.

–Domyśl się.

Zachichotała, spięła Poka i pognęła do przodu, doganiając
wyprzedzający ją radosny beztroski śmiech.

2010-01-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/